Rozmaitości

Dnia 28. Maja **Nr 22.** 1836 Roku.

ZBÓJCY
W GÓRACH KALABRYJSKICH.

Powieść z dzieła Alexandra Dumas: Souvenirs d'Antony.

Wiesz ty, co z téj się monady w byt życia wykole?
Cherub, czy gadzina?
Trucizna, czy jagoda pożywna?...

I.

CHERUBINO I CELESTINI.

Co tobie, mój zacny czytelniku, teraz opowiadać myślę, nic nie jest więcej, jak tylko scena zbójców. Jeżeliś ciekaw, trudu nie żałuj i pójdź ze mną. Powiodę cię na miejsce zdarzenia, i z duszy rad będę, jeżeli cię obrazem z natury na jaką chwilę zabawić zdołam.

Jesteśmy w Kalabryi. Widzisz tam w owém tle czystego błękitu szaro-siniawą barwą odcienione Apeniny? Widzisz te spiętrzone szczyty, na których słońce ostatnim złoto-krwawym promieniem kona? Ku tym odwiecznym olbrzymom chciej się zbliżyć ze mną. Wejdźmy na to przedmurze Apeninów, na ten skalisty w dolinę bieżący wyskok; a skoro na jego wierzchołku staniemy, ujrzysz ztamtąd na lewo Cosenza, na prawo St. Lucido, a w niejakiéj oddali w przedsób ci będzie wężem bieżąca droga, którą się skalista, sroma góra, jakby jasnym pasem, aż pod samą szyję po obu bokach pięknie opasała. Patrz tylko dobrze, a nim zmrok ciemniej spadnie, ujrzysz tam po téjże wzmiankowanej drodze czerwone, mykające płomyki, jest ich wiele, wiele — sąto rozłożone ognie; a te ciemne postacie, miejsce około nich zabierające, są zbrojni żołnierze. Wyszli oni na polowanie słynnego zbójcy. Giacomo imię jego, przewodnik śmiałej bandy. Mieli właśnie z nim żywą rozprawę, noc ich ubiegła. Jakkolwiek waleczni, ważą męztwo śmiałych, i nocy się nie zwierzają; bo straszne dla nich debry, parowy, i przepastne gór beskidy; w bój nowy krzepią jadłem i napojem siły, czekają wschodzącego słońca.

Nim to, które teraz tak pięknie umiera, w ostatnim swym promyku za górami zgaśnie; zchyl spieszno w dół głowę, i ztąd, z téj skalnéj, przepaścistéj krawędzi, puść spojrzenie w prostopadłym kierunku w tę głębią, która pod tobą przynajmniéj na 20 stóp najeża się słupem góry, z głębszéj jeszcze przepaści idącéj. Jest na niéj płonina, otoczona sterczącemi skałami czerwoniawéj barwy, korkowem, żółtem, pokurczonem drzewem, zielonemi dęby, ubramowana. Na téj płoninie ujrzysz naprzód cztery dzikie postacie, które się około ogniska przysposobieniem wieczerzy krzątają; jestto, jak w téj okoliczności, prawdziwa żertwa podziemnym bogom poświęcona! W téj chwili właśnie ćwiertują jagnię i nakładają niem kociołki; innych czterech, kręgło usadowionych, ciską sobie w twarz pięściami, z których chyżym mygiem różna liczba palców wytryska; jestto gra pod włoskiem niebem na zabicie nudów bardzo zwyczajna*), zwie się *mora*. Dwóch dalszych stoi na czatach; gdybym ci nie rzekł, że to są ludzie, rzekłbyś, żeto są dwa w ziemię wryte, że skały wyciosane posągi. W pobliżu, tam, gdzie już skała nie tak bardzo naga, pod tą bujną, dziką winoroślą, siedzi miła postać matko-dziewicza; jestto niewiasta, która do piersi tuli uśnięte dziecię swoje, jéj oczy spoczywają na słodkiem licu jego z taką tęsknotą, jakby w uroczym uśmiechu jego chciała wyczytać te sny rajskie, które z sobą na ten padół grzechu nie-

*) Grający zamyślają sobie pewną liczbę, i razem krzyknąwszy, każdy okazuje chyżo tyleż palców.

świadomie z dalekich stron przyniosło!... Powietrze przeléwa się błogim strumieniem, wietrzyki niosą woń najprzyjemniéjszą, wyssaną z dolin bujno-kwiecistych; natura staje się coraz bardziéj milczącą; głucha cichość széroko zalega, i tylko kiedy niekiedy brząknie chrząszcz złotawy, który pod włoskiém podniebiem zdaje się miéć lot melodyjny. W czarno-zielonem tle utonęły wszystkie przedmioty, ale gdzie niegdzie przecież je wyszczególnia księżyc, który się złoto-srébrnie na ciemnym błękicie wykroił. Jestto uroczysta chwila duchów! Sny — marzenia — zamiary — zbrodnie — wszystkoto, szary płaszcz nocy pokrywa, aż je kiedyś dnia oko wyjaśni.....! Ale cożto za postać atletyczna? ta, co tam w cieniu, na uboczu, tam gdzie darń cokolwiek bujniejsza, ostatnim narzutem ziemi grób ukończa?... Jestto zbójca Giacomo, owa zaś niewiasta, jego kochanka; a ci, którzy na czatach stoją, ci, którzy w nudę grają, i ci, którzy wieczerzą się trudnią, sąto wolni gór i lasów kalabryjskich synowie, których on swoją bandą nazywa —; a tenże w grobie spoczywający? Jestto Hieronimo, namiestnik dowódzcy: właśnie co dopiéro miał to szczęście być od kuli powitanym, a przezto samo i od szubienicy oswobodzonym; nie tak pięknie dopisał los przebiegłemu Antonio, co był drugim podporucznikiem, i tyle był głupim, że się w jeńca wziąć dozwolił; nie jest on w najlepszym humorze, i jak on wilk w jamie, oczekuje — stryczka. Szkoda go.

Znasz już tedy, mój czytelniku, i ludzi i miejsce i okolicę i okoliczności. Posłuchajże, co daléj opowiadać będę:

Gdy Giacomo pogrzeb ukończył, wypadło mu z rąk grobowe narzędzie, którego w ostatnią cześć ku zmarłemu, uroczyście użył; poczém ukląkł pobożnie na świeżéj mogile, i wsiąkł kolanami w piasek. W modlącéj postawie i bez ruchu zostawał blizko ćwierć godziny, wydobył z zanadrza srébrne serce, czerwoną wstążką na szyi zawieszone; na niem było wyobrażenie Najś. Panny z dzieciątkiem Jezus; ucałował je trzykroć serdecznie i z westchnieniem, jak na poczciwego bandytę przystało; podniósł się, i zwiesiwszy głowę, szedł chwiejącym krokiem i z załamanémi ramiony oprzeć się o ścianę skały, która w niebo pionowo rosła... To miejsce, na którém teraz stanął, zajął Giacomo z taką ostrożnością, z takim smutkiem, i tak cicho, że go nikt z czeladzi jego nie spostrzegł. Ta nieuwaga straży nie zgadzała się zapewne z karnością, ustawami naczelnika zaostrzoną, bo okropnym wzrokiem potoczywszy, brwi dziko ściągnął, i czoła strasznie namarszczył, i wyrzekł przekleństwo, na któreby same nieba zadrzały: »*Sangue di Christi*.....!«

Ci, którzy się ćwiertowaniem jagnięcia zajmowali, padli na kolana, jakby ich kto potężnie kijem zmierzył; graczom strętwiała ręka w powietrzu, a obie straże, tak się szparko obróciły, jak owe łontki, które ktoś jedną sprężyną pociągnie; niewiasta zadrzała, a dziécię zapłakało.

Giacomo zaiskrzył oczy; i uderzył nogą o ziemię: »Maryjo, utul mi dziécię!« zawołał przytłumionym, lecz strasznym głosem.

Maryja roztwiéra spieszno szkarłatną, złotem przerabianą sznurówkę, przytula usteczka swojego pięknego synka do okrągłéj smaglawéj piersi, która jest pięknością Rzymianki, i jakby go przeciw komuś broniła, otacza swémi ramiony. Dziécię wzięło pierś, i zamilkło.

Podobał sobie tę posłuszność Giacomo. Jego rozgniewane, zchmurzone ułagodziło się oblicze, i przecieniło się z dzikiego wyrazu w głęboką smętliwość, która w samym sobie go zatopiła. Jak posąg nieruchliwy trzymał długo w ziemi oczy; razem, ocknął się, i dał znak ręką, aby każdy robił swoje.

»Już grać nie będziem,« rekli jedni. — »Już jadło gotowe,« rzekli drudzy.

»Dobrze, więc wieczerzajcie!« rzekł im Giacomo. — »A tyż dowódzco?«

»Ja, jeść nie będę.«

»Ja także nie,« rzekł słodki głos niewiasty.

»A to dla czego, Maryjo?...«

»Nie jestem głodna.«

Te ostatnie słowa tak były cicho i lękliwie wymówione, że ich wygłosem rozczulił się bandyta, o ile mu jego dzika natura w to pozwolić zdołała; wpatrzył się w lice kochanki, a potém położył na jéj głowie swoję od słońca ogorzałą prawicę; Maryja pochwyciła ją, i do ust serdecznie przycisnęła.

»Maryjo, dobrą jesteś.«

»Kocham cię Giacomo.«

»Jeżeli to prawda, nie róbże zwodów, miéj rozum; pójdź, będziemy wieczerzać.«

Maryja stała się posłuszną; oboje usiedli przy słomianéj rozciółce, na któréj zastawione były orzechy, chléb, wino, sér kozi, i mięso z jagnięcia, które zbójcy częścią w kociołkach usmażyli, częścią na prysku upiekli. Giacomo dobył noża i widelca z pochwy swego sztyletu, podał je Maryi, sam nie jadł, tylko się posilił zdrojową wodą, któréj u stoku w kubek naczerpnął. Obawa, nie być otrutym przez wieśniaków, którzy mu wina dostarczali, czyniła go ostrożnym; napoju tego nie używał już od dawna.

Teraz dopiéro wziął się każdy żywo do smacznéj wieczerzy, prócz dwóch na straży stojących, którzy często zwracali głowę, gdzie się odbywała uczta. Z niewysłowioną żądzą spoziérali na łakocie, które, jak śnieg od skwarnego słońca, niknęły od gorącego głodu. Im bardziéj zbliżał się koniec wieczerzy, tém większa była ich niespokojność, która się w raźnym ich rąk i nóg ruchu okazywała. Zdawało się, iż więcéj im było w nakaz zwracać baczność na wieczerzę towarzyszy, aniżeli na koczowisko nieprzyjaciela, który pod ich nogami rozłożony, na ich życie godził!

Giacomo stał zatopiony w myślach. Na jego twarzy można było czytać, iż w sercu ciężkie dręczyły go przypomnienia. Nakoniec ocknął się i wstrząsł sobą, jakby się tym przypomnieniom już oprzéć nie zdołał. Westchnął głęboko, powiódł dłonią po czole, jakby coś myślą z przeszłości chwytał, i w te się odezwał słowa:

»Dzieci, posłuchajcie, opowiém wam ciekawe zdarzenie. Zejdźcie i wy z czatów, już oni o téj porze nie będą nas śmieli niepokoić; zwłaszcza, że im się zdaje, że nas tylko dwóch pozostało. Usiądźcie sobie, i słuchajcie.« Straż nie dała sobie powtarzać zaproszenia, a jéj czynne współdziałanie przy ognisku, sprawiło ruch w uczcie, który już był zaczął ustawać.

»Chceszże, abym ja miejsce ich zajęła?« zapytała Maryja.

»Dziękuję ci; nie warto trudu.«

Maryja zadrżała i ujęła potajemnie Giacoma za rękę. Ci, którzy się już z wieczerzą uwinęli, szukali sobie wygodnego miejsca do słuchania; ci zaś, którzy jeszcze się nią łakomie trudnili, nagarnęli tyle przed siebie jadła, ile dostać mogli, a to dla tego, aby już o nic upominać się nie mieli. Wszyscy usiedli w półkole, i każdy słuchał następującéj powieści z tą ciekawością, jaką zwykle mają do słuchania opowiadań ludzie bawiący się włóczęgą:

»Byłoto roku pańsk. 1799. Francuzi zajęli Neapol, i zaprowadzili rzeczpospolitę; a rzeczpospolita ze swojéj strony chciała podbić sobie Kalabryję: *per Baccho!* podbić Kalabryję, kraj góralów! nie byłato rzecz tak łatwa, a tém bardziéj dla poganów. Liczne bandy broniły wtedy Kalabryi, jak ją my bronimy teraz; bo te góry są nasze, i — *Sangue di Christi!* wara! nikomu ich sobie odebrać nie damy. Macie wiedzieć, iż za głowę dowódzców była nagroda wyznaczona, jak i teraz za moję; między innémi za głowę Cezarysa wyznaczono 3000 dukatów neapolitańskich. — Jednéj nocy, przed któréj przyjściem wieczór cały wiele wystrzałów słychać było, jak i dzisiaj zapewne nie mało ich słyszano, dwaj mali pastuszkowie, którzy swojéj trzody w górach Tarzyi strzegli, pożywali swoję chudą wieczerzę przy ogniu, który bardziéj dla odstraszenia wilków, aniżeli dla swojéj wygody nałożyli. Bylito dwaj piękni chłopcy, dwaj prawdziwi Kalabryjczykowie, pół nadzy, zamiast szat, owczą skórą około bioder opasani, sandały na nogach, wstążka z obrazkiem dzieciątka Jezus na szyi — już po całym stroju. Prawie jednego wieku byli obadwaj; ani jeden, ani drugi nie znał swych rodziców; obadwaj byli podrzutkami; jednego znaleziono w Tarencie, drugiego w Reggio, a zatem w oddaleniu o trzy mil drogi od miejsca do miejsca; co dowodziło, że jednéj rodziny nie byli. Wieśniacy z Tarzyi, wzięli ich na wychowanie; nazywano ich *figli della Madonna* (dziećmi Madonny), jak się u nas zwykle podrzutków nazywa. Dano im na chrzcie imię ś.: Cherubino i Celestini. — Ci dwaj chłopcy kochali się z całego serca, bo obadwaj wiedzieli to, i czuli, że są od całego świata opuszczeni, że im nié ma ni ojca ni matki, ni jednéj przyjaznéj duszy; ci, którzy ich, nito na wychowanie wzięli, nie ukrywali przed nimi, że to czynią jedynie dla tego, ażeby sobie drogę do nieba utorowali. Biédne dzieci, nie mając już nic pod słońcem, coby ich uszczęśliwić przynajmniéj lub pocieszyć mogło, kochali się w tym nędznym, sierocym stanie, jak dwaj rodzeni bracia. — Byli oni, jak już mówiłem, do pilnowania trzody w góry wysłani; podzielali się jednym kawałkiem chleba, pili

z jednéj czary, liczyli wspólnie gwiazdy po niebie, byli bez troski, i tak szczęśliwi, jakby prawdziwy raj ziemski zamieszkali. Ale nieszczęście i po gorach chodzi; w jakąż się pustynię człowiek przed losem skryje?!...

Razu jednego słyszą szelest, obracają się, i widzą człowieka wychylonego z krzaków, który oparty na sztućcu przyglądał się ich ubogiéj wieczerzy... Na zbawiciela! byłato postać spaniała; olbrzym, nie mężczyzna; teraz takich mało. Jakiém rzemiosłem się bawił, to jego powierzchowność powiadała: miał wysoki, spiczasty kapelusz, z széroką aksamitną taśmą, z dużą, złotą sprzączką, i z wielą czerwonych i białych wstążek; włosy miał w długie kosy splecione, które po obu stronach twarzy na ramiona mu spadały; duże, złote kolce, obnażoną szyję, kamizolę ze srébrnémi, puklémi guzikami, których wyrobem sam tylko Neapol się szczyci; aksamitną kurtę, u któréj w dziurkach guzikowych dwie jedwabne, pąsowe chustki uwiązane były; jego wierna *pudroncina* (pas, széroki, skórzany) pełna ładunków, i srébrną blachą zamknięta; krótkie spodnie z niebieskiego aksamitu, pończochy, okręcane wązkiemi rzemykami, do sandałów przymocowanémi; dodajcież jeszcze do tego, com tu wyliczył, na każdy palec pierścień, w każdą kieszeń zégarek, dwa pistolety za pasem, wysadzany sztylet, i duży kordelas u boku, a macie cały ubior jego... Obadwaj chłopcy spojrzeli na siebie; z pod ich wielkich brwi łysnął wzrok pełen znaczenia; postrzegł to zbójca: »Wy mię nie znacie?« — »Nie,« odrzekli dzieci. — »Z resztą, cóż na tém zależy, czy mię znacie lub nie. Synowie gór i lasów są braćmi sobie, a jeden na drugiego spuścić się winien, ja więc spuszczam się na was. Od wczoraj ścigają mię, jak dzikie źwiérzę; jestem głodny i spragniony.« — »Oto chléb i woda,« rzekli mu dzieci. Zbójca usiadł, oparł strzelbę o biodro, nabił ostro pistoloty, i zaczął się posilać.

Skończywszy podniósł się: »Jak się nazywa ta wioska, tam, z któréj to światło widać?« zapytał chłopców, wyciągając rękę w stronę, gdzie był widokrąg najciemniéjszy. Chłopcy, trzymając dłoń nad oczyma, patrzyli dobrą chwilę w punkt oznaczony, wytężyli weń swój wzrok ostro, poczém zaczęli się śmiać obadwaj, że bandyta żart sobie z nich stroił: nic nie widzieli. Obrócili się, aby mu to powiedzieć: już zbójcy nie było. Teraz pojęli, że ich tym wybiegiem zwiódł dla tego jedynie, aby przed nimi swój odwrót ukrył.

Chłopcy usiedli znowu, milczeli przez chwilę, a potém naraz spojrzeli na siebie: »Czyś go poznał?« zapytał jeden. — »Poznałem,« odrzekł drugi. Tych kilka słów tak do siebie szepnęli cicho, jak gdyby się obawiali, że ich ktoś dosłyszéć może. — »Bał się, abyśmy go nie zdradzili.« — »Odszedł, słowa nam nie rzekłszy.« — »Nie jest on daleko.« — »Był za wiele utrudzony.« — »Chociaż tak przezorny, już bym go ja, gdybym chciał, wynalazł przecież.« — »Ja także.«

Nastało milczenie. Obadwaj chłopcy nic więcéj o tém nie mówili; ale się podnieśli, i jakby dwa charty źwierzynę wietrzące, puścili się po obu stronach góry, i tropić zaczęli.

Nie upłynęło pół godziny już Cherubino do ognia powrócił; o pięć minut późniéj siadł przy nim Celestyni: »No, i cóż?...« — »I cóż?...« — »Znalazłem go.« — »Ja także.« — »Za krzakiem oleandru.« — »I pod zachyłkiem skały.« — »Cóż było po jego prawéj?« — »Aloës kwitnący. A co miał w rękach?« — »Dwa nabite pistolety.« — »Prawda.« — »I spał?« — »Jakby go aniołowie stróże pod swoję świętą opiekę wzięli.« — »Trzy tysiące dukatów!... to mi wiele, wiele pieniędzy; tyle... tyle... ile gwiazd na niebie.« — »Jeden dukat ma w sobie trzy karoliny, a my na cały miesiąc mamy tylko jednę; słuchaj, chociażbyśmy tak długo żyli jak stary Giuseppe, przecież byśmy przez całe życie nasze trzech tysięcy dukatów nie uzbiérali.«

Przez chwilę milczeli obadwaj. Cherubino był piérwszy, który milczenie przerwał: »Musito być bardzo ciężko zabić człowieka?« — »I dla czegoż ciężko?« rzekł Celestyni; »człowiek i owca, to jedno: człowiek ma żyłę w szyi, byle ją przerznąć, już po nim.« — »Czy dobrze się przypatrzyłeś Cezarysowi?« — »I jak jeszcze; jego szyja była obnażona, jakby się sama na coś... umyślnie wystawiła.« — »U niego nie byłoby trudno...« — »Bardzo łatwo; rozumié się, byleby nóż był ostry.« To mówiąc, jeden i drugi powiedli palcem po ostrzu swoich nożów; wstali, i nic nie mówiąc, patrzyli sobie przez chwilę w oczy: »I któryż... pociągnie za obudwóch?« rzekł Cherubino, czyniąc pociąg nożem.

Celestyni uzbiérał okrągłych kamyczków, i wyciągnął ku niemu ramię z przymkniętą ręką: »Cet, czy liszka?« — »Cet.« — »Otóż liszka; więc ty?«

Cherubino odszedł, słowa nie powiedziawszy. Celestyni widząc, że odchodzi w stronę, gdzie spał Cezaris, patrzył za nim, aż mu zniknął z oczów; poczém obrócił się, usiadł, i jął dla rozpędzenia nudów, uzbiérane kamyczki jeden po drugim rzucać w gasnący ogień. Skończywszy tę zabawkę, stał się bardzo niecierpliwym, przenosił się z miejsca na miejsce, jakby mu niedogodnie siedzieć było.

W kilkanaście minut wrócił Cherubino: »No?« rzekł do niego. — »Nie odważyłem się« — »Dla czego?« — »Spał z otwartémi oczyma; zdawało się, że te czarne tarki na mnie wyszczérzył.« — »Pójdźmy obadwaj.«

Poszli spiesznym krokiem, lecz wkrótce zaczęli wolniéć. Szli cicho, prawie ziemi nie tykając. Gdy już się zbliżali, przylęgli brzuchem do ziemi, i pełzali, jak węże; podsunąwszy się do krzewu aloesowego, wyciągnęli głowę w górę, jak gadzina łupu upatrująca; przesunęli się przez obwisłe gałęzie, i ujrzeli śpiącego zbójcę na témże samém miejscu, gdzie go piérwéj widzieli. Teraz jeden i drugi we dwoje zgięty jął się podsuwać pod zielone oleandru poddasze. Już są blizko, jeden na prawéj, drugi na lewéj stronie; teraz, trzymając świecące noże w zębach, podnoszą się z lekka i cicho, i uklękają na jedne kolano. Godzina gorąca. Dławią oddech w piersi, serce im bije mocno. Zbójca zdaje się czuwać, oczy jego są ze wszystkiém otwarte, tylko źrenica mglista, i otrętwiała. Celestyni dał Cherubinowi skinienie ręką, aby uważał pilnie na jego poruszenia. Zbójca, nim się spać położył, oparł swój sztuciec o złom skały, a zamek obwiązał jedwabną chustką. Celestyni rozwiązał ją cicho, i rozprzestrzenił nad głową Cezarysa, jak rozprzestrzenia jastrząb skrzydła, gdy ma uderzyć w łup upatrzony; a gdy widział, że Cherubini już w pogotowiu, piorunem zakrył nią głowę zbójcy, i krzyknął: »Teraz!!«

Cherubino, jak młody tygrys, rzucił się na gardło zbójcy, który, wydawszy krzyk okropny, porwał się, i śród krwie tryskającéj, potoczywszy się młyńcem, wystrzelił na ślepo z pistoletów, i padł nieżywy na ziemię..... Obadwaj chłopcy padli także, i leżeli rozciągnięci prawie bez duchu. Skoro ujrzeli, że bandyta już się ruszać przestał, podnieśli się, i bliżéj ku niemu przystąpili. Głowa jego trzymała się jeszcze cokolwiek na karku; odjęli ją zupełnie, zawinęli w jedwabną chustkę, a gdy między sobą ułożyli, aby ją każdy jakąś część drogi niósł na przemian, puścili się do Neapolu.

Biegli co mogli, i zawsze kierunek brali ku morzu, które im po lewéj ręce, od księżyca oświetlone, połyskiwało. Skoro dzień rozświtał, ujrzeli Castro-Villari; jednakże z obawy, aby krew ciekąca nie wydała skarbu, który nieśli, lub aby który z towarzyszów Cezarysa nie pomścił się na nich śmierci wodza swego, postanowili ominąć to miasto.

Tymczasem i głód nadszedł; nowy kłopot. Jeden z nich odważył się pójść po chléb do jakiéj gospody, a drugi miał czekać na niego w górach; ale zaledwie uszedł kawał drogi, już się i wrócił: »A pieniądze?...« Nieśli głowę, która 3,000 dukatów wartość miała, a żaden z nich nie miał ani jednego *bajocco*, za coby sobie chleba kupić mogli. Ten, który niósł głowę, rozwiązał chustę, odjął kólc Cezarysa i dał swemu towarzyszowi. W przeciągu godziny, powrócił wysłaniec, opatrzony chlebem na trzy dni. Podjedli sobie, i puścili się znowu w drogę. Przez całe dni dwa, biegli bez ustanku, mało co spoczywali, i ledwie na kilka godzin, snem się posilali. Ich wypoczynek był jak zwiérząt dzikich, albo w trzciny gąszczu, albo w duple drzewa, albo w skał rozpadlinie. Wieczorem dnia trzeciego przybyli do włości Altavilla zwanéj.

Gospoda była napełniona woźnicami, którzy podróżnych do Pestum odwieźli, flisami, którzy rzéką Sela płynęli, i lazzaronami, dla których wszystko było jedno, gdziekolwiek dzień i noc przepędzą. Chłopcy usiedli w kącie, który jeszcze nie zajęty zastali, położyli głowę Cezarysa między siebie, zjedli wieczerzę, jakiéj nigdy w życiu nie mieli, spali koleją, każdy swoję godzinę, zapłacili drugim kólcem, i szli w dalszą drogę nim jeszcze świtać zaczęło. Około dziewiątéj z rana ujrzeli jakieś miasto na ujściu zatoki; pytali się o nazwiko jego: odpowiedziano im, że to jest Nespol.

Teraz już nie mieli powodu obawiać się towarzyszów Cezarysa, i szli prosto ku miastu. Przyszedłszy do mostu Ś. Magdaleny, zoczywszy straż francuzką, przystąpili ku niéj śmiało, i zapytali po kalabryjsku; do kogoby się udać mieli, aby im wypłacono kwotę, którą za głowę Cezarysa przyrzeczono. Straż słuchała ich z ważną miną aż do końca, poczém pomyśliwszy chwilę, pomuskała wąsy i sama do siebie rzekła: To rzecz dziwna, te chłopaki nie są wyżéj mego tornistra, a już po włosku gadają: »Dobrze już, dobrze, moi mali przyjaciele, wolno wam wejść do miasta.«

Dzieci nie zrozumiawszy, co straż mówiła, ponowili swoje zapytania: »Zdaje się, że mają coś do powiedzenia, co tylko sam diabeł zrozumie,« rzekła straż mrukliwie, i zawołała sierżanta.

Sierżant, który mówił cokolwiek lada jak po włosku, zrozumiał słów kilka, i domyślił się, że chustka, którą Celestini w ręku trzymał, głowę Cezarysa zawiérała, i zawołał skwapnie swego oficéra. Oficér dał chłopom dwóch ludzi, którzy ich do pałacu ministerstwa policyi zaprowadzili.

Skoro żołniérze rzekli, że głowę Cezarysa przynoszą, wszystkie drzwi otwarły się przed nimi. Minister chcąc tych walecznych widziéć, którzy Kalabryję z takiego niebezpieczeństwa wybawili, kazał Cherubino i Celestyni wprowadzić do swego gabinetu. Przez długą chwilę przyglądał się obudwom, podziwiał się ich smukłym kształtom, prosto-szczeréj minie, malownemu ubiorowi, oraz ich męzkiemu zachowaniu się; pytał ich po włosku, jakim to sposobem wykonać mogli; oni opowiadali mu swoję sprawę, jakby ona coś bardzo zwyczajnego była; minister żądał dowodów; Celestyni ukląkł, rozwiązał chustkę, pochwycił głowę za włosy, i położył ją spokojnie na stole przed ministrem. Na to nie było już nic odpowiedziéć, tylko wypłacić summę; zwłaszcza, że głowa była

ta sama, którą minister miał w rysunku. Jednakże zważając młodość obudwóch, zaczął im minister przekładać, aby się jakiego rzemiosła uczyli, lub do którego pułku weszli, dodając, że rząd francuzki odważnych i śmiałych chętnie przyjmuje.

Na to przełożenie odpowiedzieli mu wprost i bez namysłu; że rząd francuzki bynajmniej ich nie obchodzi, że są poczciwi Kalabryjczycy, że ani czytać, ani pisać nie umieją, i że, aby tych się niepotrzebnych rzeczy uczyli, wcale chęci nie mają, że to wolne życie, które dotąd wiedli, nie bardzoby ich dobrze do karności żołniérskiéj przyzwyczaiło, i że się nie spodziéwają, aby w sobie jaką zdolność miéć mogli do wykręcenia się z bronią w ręku, to na lewo, to na prawo; inaczéj zaś ma się z trzema tysiącami dokatów, na to z wielką oczekują niecierpliwością, i czas już, aby im wypłacono. Minister dał im świstek papiéru, zadzwonił na posługacza, i kazał ich zaprowadzić do kasy.

Kasyjer wypłacił im summę: obadwaj rozprzestrzenili swoje jedwabną, jeszcze krwią spłukaną chustkę, wsypali w nią trzytysiące dukatów, a związawszy wszystkie jéj cztéry końce, wyszli drzwiami, które ich na plac *St. Francesco-Nouvo* wyprowadził; nie długo trwało, a już byli na ostatnim końcu wielkiéj ulicy, *Toledo* zwanéj. Ulica *Toledo* jest pałacem gminu. Wzdłuż niéj, jak daleko się ciągnęła, widzieli kupy na słońcu wygrzewających się lazzaronów, którzy z glinianych talérzów z wielką rozkoszą wpuszczali w swoje ogorzałe gęby najsmakowniéjsze *maccaroni*. Ten widok był dla nich bardzo pobudzający, i wzniecił w nich apetyt niewypowiedziany; zbliżyli się do przekupnia, kupili sobie pełny talérz tych łakoci, rzucili dukata, wydano im dziewięć karolinów, dziewięć gran i dwa calli*); tą zdawką mogli żyć obadwaj całe pół miesiąca. Usiedli na stopniach pałacu Maddaloni, zaczęli spożywać obiad, któremu się dosyć nadziwić nie mogli. Ulica *Toledo* służy do spania, jedzenia lub grania. Do spania nie mieli jeszcze chęci, jeść im się już nie chciało, więc bardzo naturalnie, że obrali trzecie. Wmieszali się do jednéj grupy lazzaronów, którzy *mora* grali. W przeciągu pięciu godzin przegrali trzy calli, mogli taką rzecza grać przez trzecią część wieczności.

Szczęśliwym sposobem dowiedzieli się jeszcze tego wieczora o tém, że w Neapolu są domy, w których się po dukacie jada, i w których w jednéj godzinie tysiące *calli* przegrać można. Gdy sobie żadnéj wygody nie żałować umyślili, chcieli przeto dobrą zjeść wieczerzę, i kazali się do takiego domu zaprowadzić; było w nim *table d'hote*. Gospodnik spojrzał po ich ubiorze i zaczął się śmiać do rozpuku; lecz oni pokazali mu pieniądze, które mieli przy sobie, a gospodnik zaczął się kłaniać jak chińska *pagoda*, i oświadczył, że pokoje czekają na ich przyjęcie, gdzie jak najlepiéj usłużonémi będą, dopóki sobie *ich excellencyje* przyzwoitego ubioru zrobić nie każą, któryby im z gośćmi dozwolił usiąść do stołu.

Cherubino i Celestyni wypatrzyli się na siebie i nie mogli pojąć, coby gospodarz przez przyzwoity ubior rozumiał; mieli bowiem swój za bardzo smakowny, bo jak już namieniona, składał on się z runistéj owczéj skóry, około bioder opasanéj, i z dobrych, około nóg osznurowanych sandałów; reszta ciała była naga, co im się na gorąco mniéj uciążliwe, i rzeczą najwygodniéjszą być zdawało. Jednakże gdy im wyjaśniono, iż chcąc nabyć prawa jeść obiad za dukata, i w jednéj godzinie przegrać tysiące *calli*, należy piérwéj miéć koniecznie zupełne ubranie; nie opiérali się, i zezwolili na to. Tymczasem nim do stołu zastawiono, wszedł krawiec z miarą, i zapytał ich, jakiby ubior sobie miéć życzyli. Bez namysłu odrzekli mu na to, że kiedy już koniecznie ubior miéć muszą, tedy rzeczą naturalną, iż nad inny przenoszą ubior kalabryjski, jako narodowy, podobny temu, jaki młodzi i bogaci ludzie w Cozenza i Tarencie noszą. Krawiec skłonił się i zapewnił, że ich excellencyje jutro rano żądanym ubiorem usłużeni będą.

Ich excellencyje wieczerzali w swoim pokoju i przekonali się, że *raviolli* i *sumbajone* daleko smaczniéjsze, niż *maccaroni*, że *la crima Christi* zasługuje miéć piérwszeństwo od czystéj zdrojowéj wody, i że białe, śniadym gryskiem osypane bułeczki, daleko snadniéj dają się połyskać, aniżeli owsiane, w prysku pieczone placki. Skoro się smaczną wieczerzą uraczyli, pytali posługacza, ażaliby im na poddaszu przespać się nie pozwolono; sługa wskazał im dwa łóżka, które oni za kapliczki mieli.

Celestyni, który niejako był kasyjerem, zamknął chustkę z dukatsmi do stojącego biórka, wziął klucz do siebie, i zawiesił go na wstążce, którą nosił na szyi. Poczém odmówili do Najś. Panny pacierze, a każdy, ucałowawszy swój skaplérz, położył się w swojém łóżka, w którémby pięciu wygodnie pomieścić się mogło, i spali smaczno do dnia białego; krawiec dotrzymał im słowa, a będąc już przyzwoicie ubranymi, wolno im było przy *table d'hote* obiadować i zwiédzić salę gier, gdzie sto dwadzieścia dukatów przegrali.

Jeden z przebiegłych graczów, chcąc ich w téj stracie pocieszyć, dał im do zrozumienia, że ich w takie miejsce zaprowadzi, gdzie się daleko lepiéj zabawią. Gdy godzina nadeszła, napełnili kieszenie dukatami, i dali się prowadzić do owego raju pociechy; powrócili z tamtąd dopiero o świécie do oberzy weseli, ale z próżnémi kieszeniami.

*) Dukat ma dziesięć karolinów, jedna karolina dziesięć gran, a jeden gran dwanaście calli.

Czém się tam bawili, mocno im się podobało, tak prawie, jak gra, i dobremi potrawy stół zastawiony; a że mieli adres, więc następującej nocy to miejsce znowu odwiedzili. — Ten sposób życia wiedli przez dni czternaście, a to już wykształciło ich nie mało. Jużby ich za francuzkich podporuczników, lub za coś podobnego mieć można było.

Pewnego wieczora znowu się, jak zwyczajnie, do tego ulubionego domu wejść zapędzili; ale na ich nieszczęście tenże, na rozkaz rządu, zamkniętym został, ponieważ jakieś zabójstwo, nie wiem jakie, w nim się zdarzyło.

Żałując straty tak przyjemnego przybytku już się mieli do gospody wrócić, lecz widzieli, że ludzie kupami w jednę stronę ciągnęli; nie długo myśląc, udali się za nimi. W kilku chwilach byli przy *Ville-Reale*, na spaniałej ulicy *Chiaja*, któréj jeszcze nie znali.

Chiaja o siódmej wieczorem jest miejscem od pięknego świata tłumnie odwidzaném; wszystek Neapol przybywa tutaj dla orzeźwienia się łagodnémi wietrzyki, które z morskiéj zatoki zalatując, niosą z sobą woń pomarańcz z Sorento, i jasminów z Posilippo. Tam jest więcéj wodotrysków i posągów razem, niż ich w całym świecie obaczysz; a za temi wodotryskami, i posągami widzisz morze, jakiego nigdzie nie ma.

Nasi obadwaj birboni polubili sobie to miejsce; przechadzali się w tym wesołym wirze śmiało i rozparto; trzymając jednę rękę na sztylecie, a drugą na dukatach w kieszeni, nie mieli względu dla nikogo, dotykali się kobiet łokciami dość grubijańsko, a mężczyzn potrącali z drogi. Ujrzeli przed kawiarnią wielką grupę mężczyzn, pośród téj grupy stała kolaska, a w téj kolasce siedziała prześliczna kobieta, która się lodami chłodziła. Tę panią z blizka oglądać, złożyła się ta grupa. I była to w saméj istocie piękność, jaka po stworzeniu Ewy, pierwszy raz z rąk stworcy wyszła; byłato piękność, któraby i anioła do upadku przywiodła. Nasi Kalabryjczykowie weszli do kawiarni; kazali sobie dać sorbetu i usiedli w oknie dla przypatrzenia się z blizka kobiecie, która prócz innych uroków dziwnie piękne rączki miała. »*Corpo de Baccho!* jakże ona piękna!« zawołał Cherubino.

Jakiś mężczyzna w czarnym ubiorze zbliżył się do niego, i rzekł mu w pół głośno: »Chwila pomyślna, nie należy jéj zaniedbać.«

»I cóż to ma znaczyć?«

»To ma znaczyć, że hrabina Fornera od kilku dni zostaje w niesnaskach ze swoim kochankiem, rozstali się — i —«

»I cóż?«

»Szczęśliwy, kto znajdzie sposobność, komu się powiedzie zasłużyć na jéj wejrzenie, i —«

»I któż ty jesteś?«

»Znawca sztuk pięknych; dobiéram modelów dla znakomitych artystów.«

»Nie rozumiém; ale chciałbym się z tą piękną kobiétą bliżéj poznać.«

»To bardzo trudno, trzeba piérwéj ująć jéj damę domu, aby — aby wolno było podziwiać się hrabiny wdziękom z blizka, słyszeć jéj głos melodyjny, być zachwyconym jéj dowcipem jenijalnym.«

»Ileż to ujęcie kosztuje?«

»Pięćset dukatów, i głębokie milczenie.«

»A wtedy będzież mi wolno zbliżyć się do niéj, i słyszeć jéj głos melodyjny?« — »Sądzę.«

»I ja z tobą,« rzekł Celestyni, »pójdziemy razem oglądać ten model jenijalny.«

»Wtedy podwójna kwota,« rzekł czarno ubrany.

»Dobrze, już dobrze. Staraj się zapewnić, czy pozwoli sobie służyć, a potém przyjdź do nas, mieszkamy w hotelu *de Venice*.«

Czarno ubrany pokłonił się, i poszedł w swoję, a nasi chłopcy w swoję drogę. Powóz hrabiny odjechał. Celestino i Cherubini przyszli do gospody; mieli jeszcze 500 dukatów całego majątku. Usiedli na przeciw siebie przy stole, położyli w środku talíję kart, i jeden po drugim brał koleją. *Ass coeur* padł Cherubinowi.

»Szczęśliwyś!« rzekł Celestyno, i rzucił się na łóżko. Cherubino wziął 500 dukatów do kieszeni; popróbował, czy jego sztylet łatwo się z pochwy wymyka, i oczekiwał czarno ubranego. W pół godziny nadszedł.

»Przyjmuje?« — »Przyjmuje!«

»Pójdźmyż.« Zeszli. Noc była pogodna, i wesołego humoru, wszystkiémi swémi oczyma świeciła na ziemię. Hrabina mieszkała na przedmieściu *Chiaja;* czarno ubrany szedł przodem, Cherubino za nim, nócąc sobie piosnkę:

Che bella cosa de morire ucciso,
Inanze a la porta de la inamorata.
L'anima se ne sagli in paradiso,
Et lo cuorpo lo chiegne la scasata!)*

Przyszli do skrytych drzwi, przy których czekała ich pokojowa. »Ta pani ma zlecenie zaprowadzić excellencyje do hrabiny. Dopełniłem przyrzeczenia; wizyta przyjęta; proszę o sto dukatów dla mnie; a czterysta raczysz włożyć w alabastrowy koszyczek, który na kominku stoi; dama domu będzie je umiała znaleźć.« Cherubino zapłacił, i poszedł za pokojową.

Byłto piękny pałac marmurowy; po obu stronach wschodów stały kryształowe banie, a między każdą lampą umieszczone były z bronzu urny, w których wonie gorzały. Przechodzili jednę komnatę po drugiéj, w którychby jakiego króla z całym jego dworem umieścić można było; poczém na końcu wielkiéj galeryi stanęła pokojowa u drzwiczek, które niewidocznie w szpalerowéj ścienie ukryte były; otworzyła je, i wpuściwszy Cherubina, zamknęła.

»Tyżeśto, Gidsa?« rzekł głos niewieści. Cherubino spojrzał w stronę, z któréj głos wyszedł, i poznał hrabinę w białéj, lekkiéj muślinowéj sukni, na pysznéj, różowéj sofie spoczywającą; bawiła się pukiem swoich długich włosów, które ją, jakby hiszpański płaszczyk, ocieniały.

»Nie, signora, nie jestto Gidsa, ja to jestem,« odrzekł Cherubino.

»Jakoż ty signore?« rzekł głos jeszcze czulszym wyrazem.

»Ja, Cherubino, dziecię Madonny.« To mówiąc przystąpił bliżéj ku sofie, która się na kilku stopniach wznosiła.

Hrabina, uderzona tym głosem, oparła się na łokciu, i podniosłszy cokolwiek głowę, patrzyła na niego zdziwiona: »Przychodzisz zapewnie od swego pana, młodzieńcze?« zapytała.

»Nie, ja przychodzę od siebie samego, signora?«

»Cóżto ma znaczyć? Nie rozumię.«

»Zaraz wytłumaczę. Widziałem panią dzisiaj w *Chiaja*, gdzieś lody jadła, ujrzawszy ją; *per Baccho*, jakże ona jest piękną!« zawołałem z uniesieniem. Hrabina uśmiechnęła się. »Jakiś czarno ubrany mężczyzna zbliżył się do mnie, i rzekł mi: »Młodzieńcze, chcesz ty z tą piękną kobietą, która się tobie tak mocno podobała, zapoznać się bliżéj?« Chcę, odrzekłem. »To nie tak łatwo; trzeba ująć jéj panią domu,« odrzekł mi nato. Mniéjsza oto, ujmę ją; odpowiedziałem. Przyszedłszy ze mną do tych drzwi, zażądał sto dla siebie, a kazał mi czterysta wrzucić w koszyk alabastrowy; oto są.« Cherubino rzucił trzy lub cztéry garście złota w koszyk, który się przepełnił, a dukaty zaczęły się toczyć po gzymsie komina i spadać na posadzkę.

»Co to za szkaradny człowiek ten Mafeo!« rzekła hrabina.

»Nie znam żadnego Mafea, ani wiém, czy szkaradny, ale pani widzisz, że tu jestem, i wiész za jaką cenę.«

---

*) Jakże miło paść trupem u drzwi kochanki;
Dusza idzie do nieba, ciało zlewa łzami kochanka.

To mówiąc chciał się zbliżyć.

»Ani z miejsca! albo na ludzi zadzwonię i z domu cię wyrzucić każę!« rzekła z uniesieniem hrabina.

Cherubino zgrzytnął zębami, zagryzł usta i położył rękę na sztylecie: »Signora, jestem Kalabryjczyk, a jeszcze góral! Pamiętaj o tem! Dziecię, które z Tarsyi do Neapolu głowę zbójcy w chustce przyniosło, a jaką głowę, i jakiego zbójcy? Cezarysa? Rozważ to dobrze.«

»Przebóg! Tyś to? i tutaj!?« wrzasła z przestrachem hrabina.

»Jam to, i tutaj,« rzekł Cherubino spokojnie.

»Precz!... albo...«

»Oho! być tu, kupiłem sobie prawo.«

»Odejdź, albo.....«

Hrabina wyciągnęła spiesznie ramię, aby chwycić za taśmę od dzwonka. Cherubino jeszcze spieszniej jednym skokiem od komina był już przy dywanie.

Hrabina wydała krzyk przeraźliwy i zemdlała; Cherubino rzucił sztyletem i przybił jej rękę do ściany, o sześć cali niżej od taśmy. —

»Holla! Celestyni! czy wstaniesz ty dzisiaj?« zawołał Cherubino, powróciwszy we dwie godzin do gospody.

Celestini porwał się z łóżka, przetarł sobie oczy i wpatrzył się w niego: »Tyś krwią zbryzgany?«

»Fraszka!« — »A hrabina?...«

»Przedziwna kobieta.«

»Do licha! I czegożeś mię zbudził?«

»Bo już ani *bajocco* nie mamy w kieszeni, i nim świtać zacznie, w podróż nam się puścić wypada.«

Celestyni wstał. Obadwaj chłopcy wyszli z hotelu, jakto często czynić zwykli; nikt ich nie zatrzymał.

O pierwszej z rana minęli most *Maddalena*, o piątej byli już między górami. W głębokim parowie, między skałami, zatrzymali się:

»No, cóż teraz poczniemy?« rzek Celestyni. — »To właśnie i moje pytanie. Wrócimyż znowu paść trzodę.«

»Przenigdy... na Zbawiciela!«

»Więc zostańmy zbójcami!«

Obadwaj chłopcy podali sobie z radością dłonie, i uderzywszy w nie w znak zgody, przysięgli sobie pomoc i przyjaźń wieczną. Sumiennie dotrzymali słowa, od tej chwili nigdy jeden drugiego nie opuścił.«

»Ale nie, mylę się;« wskazując na grób świeży, rzekł z westchnieniem Giacomo; »przed godziną właśnie jeden opuścił drugiego.« (Dalszy ciąg nastąpi.)

KAROL LIPIŃSKI.

Z listu pisanego z Londynu do Lwowa umieszczamy niektóre szczegóły: Dnia 16go kwietnia o 1 3/4 z południa, po bardzo szczęśliwej żegludze na statku parowym *Cruisidor*, wysiadł Karol Lipiński w Dowerze na brzeg angielski. Dnia 17. rano przybył do Londynu, a dnia 20. otrzymał już od towarzystwa filharmonijnego zaszczytne zaproszenie, odegrania w tegoż sali dnia 25. koncertu, którego proba odbyła się dnia 23go w obecności komitetu filharmonijnego i licznego auditoryjum, a któryto koncert tak pod względem kompozycyj, jak i wykonania wymaganiu obecnych, jak się zdawało, zadość uczynił. — Przy popisie dnia 25. powiększał się stopniowo oklask za każdą odegraną częścią, co dla pana Lipińskiego tém pochlébniejszém było, że Lipiński jeszcze nikogo z publiczności nie znał. Czém się tylko Europa poszczycić mogła, zebrało się tu na teraźniejszą porę koncertową; jest tu liczba nie mała artystów bądź głosem, bądź na instrumentach popisujących się. Dni na koncerty przyznaczone były już przed przyjazdem Lipińskiego, aż do ostatniego lipca rozdane, uwiadomienia zaś na dwa miesięcy wprzód po murach poprzybijane, i po sklepach muzycznych poroznoszone; wyznaczono więc Lipińskiemu dzień 1go czerwca, któryto dzień właśnie porę koncertową kończy. W przeciągu tego czasu dają tu wielkie oratoryja; Lipiński był dotąd na dwóch tylko obecnym: na oratoryjum *Israel w Egipcie*, i *Messias*, oratoryjum Händla, przez 600 muzyków i śpiewaków, wykonane w ogromnéj sali, w której nad orkiestrą są przepyszne organy; nie można sobie łatwo wyobrazić tego religijnego wrażenia, jakie ta potężna i zadziwiająca muzyka wywiera na publiczność najdobrańszą, która się jéj z prawdziwą pobożnością przysłuchiwa.

Wypis z gazety *Times* z d. 26. kwietnia 1836. *(Philharmonii society.)* Na danym dnia wczorajszego filharmonijnym koncercie wystąpił, po raz pierwszy w tym kraju, znakomitéj sławy artysta; było to Karol Lipiński, który, grając koncert na skrzypcach, okazał się zupełnie godnym téj wielkiéj wziętości, jaką na stałym lądzie ma już od dawna. — Mówiąc prawdę, rzadko nam się kiedy zdarzyło to szczęście słyszéć większego na tym instrumencie mistrza, nad pana Lipińskiego. Styl jego jest rodzimego charakteru, śmiały i urozmaicony, pełen zgodno-dźwięcznych, misternie dobranych kontrastów; co sprawia, że jego gra w nieustannéj uwadze trzymając słuchacza, ani mu na chwilę odpocząć nie daje; czego zwykle inni artyści czynić zaniedbują, i o tak zaletną przymiotowość postarać się nie umieją, przezco samo ich gra staje się jedno-tonna, nudna, usypiająca. Pod tym względem, że wszystkich wirtuozów, których słyszeliśmy na tym instrumencie, żaden się tak bardzo nie zbliżył do gry Paganiniego, jak pan Lipiński. Czystość i wyrazistość przechodów jego *(pasażów)* jest nader pociągająca, a dźwięk podwójnych tonów *(doppelgriffe)* wysokiego skutku. Używa on ich nie tylko przypadkowo, ale umie wieść je dowolnie koleją przez długi nót szereg, tak czysto i tak doskonale wykończono, że się zdaje, jakby grał na dwóch razem instrumentach. — Za podziwnie piękny mieliśmy jego ruch wolny, ale jego *alegro* było równie we względzie wynalasku, jak i wykonania, daleko piękniejsze i więcéj energiczne. Ten serdeczny poklask, który pan Lipiński jako dowód pochwały po skończonym koncercie przez auditoryjum dilettantów odebrał, nie pozostawił żadnéj wątpliwości, iż ma wszelkie i słuszne prawo w sztuce swojéj, na stopniu najwyższym być umieszczonym; nie można albowiem temu zaprzeczyć, że jest równie głębokim muzykiem, jak i skończonym artystą.

* * *

Nie dawno zgasły angielski poeta-filozof Coleridge, przełożył *Wallensteina* Szyllera w ten sposób, iż Anglicy dramat ten za swój ojczysty uważają, dodając, iż Coleridge w przekładzie sam pierwotwór przewyższył. — W ogóle *Wallenstein* ulubionym jest w Anglii, a zdaniem pewnego krytyka, olbrzymi ten dramat przewyższa dramatyczne utwory Göthego i innych.

W bliskości Rio-Janeiro leży klasztor Ajuda, odrażający swoją posępną barwą, zakratowanemi oknami, i wysokiemi mury. W tym monasterze zwykle na czas niejaki zamykane są kobiety, np: jeżeli małżonek ma powody do zazdrości, jeżeli daleką przedsiębierze podróż, jeżeli żona wyłamuje się z obowiązków winnego posłuszeństwa, i t. p. Szczęśliwe nasze damy, nie znają podobnego klasztoru!

W izbie deputowanych w Paryżu nie dawno szczególniejszą przełożono petycyję: Aby bankierowie nie rozkładali więcéj przed oczyma publiczności stosów złota i banknotów, ale natomiast mają wywieszać szyldy stosowne; ponieważ, mówi, widok téj mamony obudza w duszy przechodzących biedaków niepomiarkowane żądze i pokusy, które częstokroć do zbrodni prowadzą.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.